

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Na nowe lato.

Bogdaj rok nowy był nam weselszy!
Bogdaj człek stanął na duszy bielszy —
Bogdaj z tym Bogiem, co na świat schodzi,
Poczuł, że Bóg mu w sercu się rodzi!
I z aniołami czysty anielsko,
Witał go co dnia przed strzechą sielską,
W boru, na koście i na swej roli,
I wonczas kiedy serce zaboli.

Bogdaj rok nowy był nam weselszy!
O! bo leż wiele kosztował stary.
Niechby człek patrzył w niebiosą śmielszy,
I ufał, i był żelaznej wiary.
I gdy go ucisk albo grzech niecie,
Otrząsł go z siebie szorstkimi dloni,
Jak pył otrząsa, co go omiecie
Nieraz przy pracy tam na zagonie.

Bogdaj ten bocian co wróci z wiosną
Bogdaj jaskółka pod nasze strzechy
Wieść nam przyniosły z dali radosną,
I dla zbawienia i dla pociechy.
O! bo te ptaki to Boże posły!
Spytajcie ojców — oni powiedzą,
Że już im nieraz dobrą wieść niosły;
I szczęście bywa, gdzie się osiedą.

I niech nam słońce wstające z rana,
Gdy pociągniemy z pługami w pole,
Otworzy oczy na wolę Pana,
Na lepszą wolę i lepszą dołę, —
I niechaj spali ten płomień Boży
Tych, co roznoszą fałszywe wieści —
Niechaj zły szatan wielce się strwoży!
Bo szatan sprawcą naszej boleści.

A kto mogiłę ujrzy na błoni,
Niech o nią pyta u starych ludzi.
Starzy powiedzą o starej broni...
O dziadach dawna wieść się obudzi.
Słuchajcie pilnie, gdy stary prawi
Jako kto zginął, jako się wstawił.
Myście, co każdy swoim zostawi?...
I.. bogdaj Bóg nam pobłogosławił!...

R. Romanowski.



94711

Król i wójt.

Powieść z lat dawnych.

przez

Stefana Gębarskiego.

(Ciąg dalszy.)

Nagle wśród moczarów, w najciemniejszym zakątku zabłysło światło dziwne, fosforyczne.

— Czary! — rzekł Stach.

— Nie wierzę w żadne czary — mruknął Piętka — ktoś żywy, jako i my, chodzi wśród puszczy.

— Ale świeci sobie czemś dziwnem, jakby wilczemi ślepiami.

— Próchno trzyma w ręku, który w ciemności świeci.

— Może i to być.

Spiew smutny, bezdźwięczny znowu się rozległ, jednocześnie na niewielkiej polance ukazała się postać dziwaczna, której fantastyczność podnosiło i potęgowało raz silniejsze, to znów słabsze z za chmur lekkich przeświecające światło księżycy.

— Wiedźma! szepnął Dąbek.

— Niech przejdzie — dodał Piętka — nie zaczepiajmy jej.

Jakoż przez polankę przechodziła zwolna dziwaczna postać starej kobiety, w lachmany odziana, z włosiem siwym, rozwianym, z koszturzem w jednym ręku, a próchnem w drugim.

Szła zgarbiona, śpiewając, a skarga brzmiała w jej głosie.

Nagle zatrzymała się i zaczęła niespokojnie rozglądać dokoła.

Spiew ucichł.

— Spozregła nas — rzekł szeptem Dąbek.

— Nic to, niech idzie dalej, nie odzywajmy się! — poradził Piętka.

Stara, jakby domysławiając się, że o niej mówią, nagle śpiew swój przerwała i wykrzyknęła:

— Kruki, sowy, będzie dla was żer gotowy. Pożałujcie się tych, Boże. Niemcy w borze! Niemcy w borze!

Dąbek i Piętka nie wiedzieli co o tem myśleć. Czy to była dla nich przestroga, czy też zwyczajna piosenka starej.

— Niemców się boi — szepnął Piętka.

— A może nas przed niebezpieczeństwem ostrzega? — domyślał się Dąbek.

— Kto wie, czy nie tak! O patrzno, wraca się!

Wiedźma istotnie zwróciła się w stronę drzewa, pod którym stali rycerze i śpiewać przestała.

— Widzę was — zawołała nagle — widzę! Nie Niemcy jesteście, choć jak oni macie miecze błyszczące, zbroje na piersiach. Niemcy zbójce... oni zabili mi moje dzieci, spalili chatę, wymordowali sąsiadów, wieś całą z dymem puscili, a

gdzieżecie wy byli wtedy? Czemuście nas nie bronili? Mówcie!

— Szalona! — szepnął Piętka — jakieś wielkie nieszczęście pomieszało jej rozum.

— Odezwę się do niej — rzekł Dąbek — liłość i żal mam w sercu.

— Zapytaj ją dokąd dąży?

Dąbek postąpił kilka kroków ku starej.

— Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł dobitnie i z uczuciem.

— Na wieki wieków Amen! — odrzekła stara. — Witaj w tej puszczy, jasny sokole! Witajcie oba. Bóg zrządził, żeście na starą Boruchę trafili. Niemcy w puszczy. Nie traćcie czasu, pójďte za mną... pójďte!

Tyle było dziwnej mocy w głosie starej, że oba rycerze postanowili posłuchać jej wołania.

Ona odwróciła się szybko i wyciągając kosztyr przed siebie, szybko zanurzyła się w gąszczu leśne.

— Pójdźmy! — rzekł Dąbek.

— Pójdźmy! — powtórzył jego towarzyszy.

Przy bladym świetle księżycy, wśród mroków nocy, między moczarami przedzierali się dwaj rycerze.

Przed nimi szła stara kobieta z rozwianym włosiem i żaliła się, skarżyła:

— Z pod Gniezna-m ja, jasni rycerze, z pod miasta wielkiego, ze wsi Zielonej. Przyszli Niemcy, dzieci mi zabili, Jaska i Hanusie, dwie drogie ptaszynki, błyszczące miecze zaczerwieniły się w krwi niewinnej. Mnie oszczędzili, bo z żalun padła, jak martwa na ziemię. Oj, dola moja ciężka, dola sieroca! Poszłam w świat szeroki, za bory, lasy, za góry rzeki, niemiłe mi jasne słoneczko, niemiły świat. Każdy kwiatek leśny, każdy listek drzewa zda się mnie pytać: „Czemżeś pomściła śmierć twoich dzieci?“ Ale Bóg nie każe się mścić, sobie on sprawiedliwość zostawił, Bóg skarże, Bóg sędzia straszliwy dla zbrodniarzy! Sły przez puszcze wojska wielkie, nie niemieckie, prowadził je król Łokietek... Drżycie, Niemce, drżycie, zabójcy mojej Hanusi i mojego Jasia. Moje oczy wyplakane, moje lata zakrwawione. Oj, doloż moja dolo!

Ucichła nagle, przystanęła.

— Jar tu głęboki, ostre jałowce i krzaki tarniny, ale żaden nieproszony ptak do kryjówek mojej się dostanie. Ostróżnie jasni rycerze, ostrożnie!

Zaczęła zwolna, świecąc wciąż bladym próchnem, schodzić w jar dziki, gęsto zarosły, z nad którego porwało się nagle kilka spłoszonych ptaków i odleciało.

— Strach mnie zbiera — mruknął Stach — wchodzimy Bóg wie gdzie za tą szaloną.

— Żle ona nam nie życzy — rzekł Piętka — ból przez nią przemawia. Rada ukryje nas na noc w bezpiecznym miejscu. W tym jarze, jak

w kolcach jeża, schronimy się, a o świcie w dalszą się puścimy drogę.

— Już tak nieźle będzie. Po nocy w tej puszczy niebezpiecznie. Zwierza grubszego moc tutaj.

Nareszcie po godzinie brodzenia wśród moczarów dotarli obaj rycerze na skraj niewielkiej polanki, otoczonej wiekowymi dębami, osłoniętej ze wszystkich stron gęstwiną młodych krzewów i drzewek leśnych, przez którą trudno byłoby dostać się tutaj nie tylko człowiekowi, ale nawet przyzwyczajonemu do przedzierania się przez najgęstsze zarośla cierniste zwierzowi leśnemu.

Była to dziwna polanka i jeszcze dziwniejsza pośrodku niej wznosiła się chata.

Polankę zalegały powywracane przez burze pnie drzew olbrzymich, co sprawiało wrażenie, jakby tutaj odbyła się jakaś straszliwa walka leśnych olbrzymów, a chata, zbudowana z gałęzi, osłonięta darnią, przybrana w bujne bluszcze, czyniła wrażenie jakiejś naprędce skleconej kryjówki, w której tak dobrze mógł się schronić człowiek, jak dziś tajemniczy zwierz leśny.

Ponad nią zwieszały się olbrzymie konary dębów, łącząc się w górze z sobą i tworząc zleone, gęste sklepienie, niby olbrzymiego namiotu.

Przez otwór w chacie widać było światło ognia.

A więc tam ktoś mieszkał oprócz tej nieszczęśliwej kobiety, mającej pozory wiedźmy. Ale kto?

— Małgoś! Małgoś! — zawołała stara, zbliżając się do chaty.

Nikt jej nie odpowiedział, tylko stuletnie, sędziwe dęby poważnym szumem przygłuszyły echo tego wołania.

— Nie sama mieszka tutaj! — szepnął Stach Dąbek.

— Małgoś! sierotko! nieszczęśliwa dziewczyno! — rozległo się znowu wołanie starej. — Nie bój się, to ja Borucha! Wyjdź, poświęć mi, moje dziecię!

Odpowiedzi nie było.

— Nie wychodzisz, słowiczku mój, pewnie cię znowu straszny obłąd chwycił... znowu nieporuszona siedzisz w izbie i patrzysz w płonące łuczywo, a łzy płyną z twoich zasmuconych oczu.

— Jasne sokoły moje — zawołała stara, zwracając się do rycerzy — znalazłam w borze niedawno temu dziewczę na straszną śmierć skazane. Jakiś zbrodniarz, ha, chyba Niemiec, wywioził ją w głąb puszczy i zostawił przywiązaną do drzewa. Obwiązał jej szyję gołębią sznurem twardym i powiesić chciał, ale Bóg ją ocalił. Stara Borucha czuwała.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wygnańcy w lesie.

Powieść z angielskiego

przez R. M.

Leon myślał, że krzyki wystraszyły dziką bestię, złudzenie to jednak krótko trwało; spostrzegł niebawem pumę, skradającą się sposobem kocim w jego stronę. Co począć? Za parę sekund puma może wskoczyć na drzewo, Leonek czuł się zgubionym nieodwołalnie: albo stanie się pastwą pumy albo termity go rozszarpia. Jednakże zwierz nie skoczył od razu na drzewo, ale z wolna obchodził pień dokoła, czając się, uderzając ogonem o boki i otwierając paszczę, zaczerpioną krwią mrówkojadów. Leon nie oddychał już prawie z przerażenia, gdy w powietrzu dał się słyszeć świst i strzała utkwiała w boku pumy. Zwierz ryknął wściekle, wyrwał strzałę, ale wnet druga strzała utkwiała w jego ciele i Leon posłyszał znajome głosy Don Pabla i Guapa, którzy pospieszali na pomoc, jeden ze siekierą, a drugi ze swą nieodłączną sarbakoną.

Puma uciekała, ale na granicy polanki, zachwiała się i padła. Don Pablo, obawiając się by trucizna nie działała zbyt powoli, roztrzaskał jej czaszkę siekierą, a Guapo wziął na ramiona Leonka i poniosł w tryumfie.

Wracając wieczorem z roboty, pracownicy nasi zastali tylko kości leniwców i mrówkojadów oczyszczone z mięsa do ostatniego żdźbła. Pumę zabrano do domu, gdyż skóra jej wysoką ma wartość.

Przed samem prawie domostwem spotkano mrówkojada samca. Guapo, chcąc zabawić Leonka pociesznym widokiem, po strasznych wzruszeniach dnia dzisiejszego, skrył się między gałęzie i poruszał je w taki sposób, że wydawały szmer podobny do padającego deszczu. Mrówkojad podniósł natychmiast swój długi ogon i zakrył się nim jakby parasolem. Guapo zbliżył się następnie do zwierzęcia, które nie okazując ani strachu ani gniewu, poszło za nim do mieszkania, jak koza, albo baran. Zabawiło to ogromnie wszystkich, a szczególnie dzieci.

Pancerniki i dwa zabite jelenie.

Pewnego poranku Don Pablo, Leon i Guapo śpiesząc do świeżo wynalezionnej kępy drzew chinowych, zobaczyli między krzakami rozciągniętego nieżywego jelenia, napuchniętego tak, że zdawał się być dwa razy grubszy niż rzeczywiście. Don Pablo zadziwił się, że ani jedno z licznych zwierząt, żywiących się padliną, nie naruszyło go dotąd. Ale Guapo, przyjrawszy się bacznie, zmierkował widocznie, jaka była tego przyczyna, bo podniósł siekierę i ciął nią jelenia. Ku wielkiemu zdziwieniu don Pabla i Leonka rozległ się głośny trzask, przyczem zeschnięta skóra pękła, a pod nią

ukazała się próżnia; nie było już ani mięsa ani jednej żylki, tylko wyschnięty biały szkielet zwierzęcia.

— Kto to mógł zrobić? — zapytał Leonek.

— Nikt inny tylko pancernik — odparł spokojnie Guapo.

— Pancernik? — zadziwił się Leonek.

— Nie inaczej, patrzaj, oto są dziury przez niego wykopane — i Guapo ukazał w ziemi dwie duże dziury, w odległości kilku łokci jedna od drugiej. Widocznie pancernik dawno wyjadł mięso zniknął.

Rozmawiając o dziwnych obyczajach pancerników, zbliżyli się do kępy drzew chinowych, w pobliżu których znajdowała się polanka. Tam ujrżeli drugiego padłego jelenia, dokoła którego zgromadziło się mnóstwo czarnych sępów. Pierwsze uderzenie siekiery w drzewo spłoszyło te ptaki, ale niebawem wróciły one napowrót.

Tymczasem Don Pablo i Guapo, nie przestając pracować, zastanawiali się nad tem, co było przyczyną śmierci dwóch naraz jeleni. Don Pablo był zaniepokojony, bo wiedział, że Kunkowie plemię Indian najbardziej dzikich i krwiożerczych, w wędrówkach swoich dochodzi nieraz aż do samych stóp Kordyliarów.

— Nie trwóście się panie — mówił Guapo — znam ja dobrze Kunków, gdyby się znajdowali w pobliżu, natrafilibym z łatwością na ich ślady. Te dwa jelenie napewno zadusiła puma, która lubi polować nie będąc głodną.

Słowa te uspokoiły don Pabla, gdyż wiedział, że może zupełnie ufać doświadczeniu i czujności wiernego sługi i przyjaciela.

Nie upłynęło wiele czasu, a uczujące na padlinie sępy zwróciły znowu na siebie uwagę pracowników. Pożerając łapczywie zepsute mięso, nagle odleciały przejęte strachem bez żadnej widocznej przyczyny; przysiadł jednak o kilka kroków dalej, a ich wyciągnięte w stronę jelenia szyje wskazywały, że to, co ich przejęło trwogą, znajduje się w samej padlinie. Zaciekawieni pracownicy, zaprzestali na chwilę zrąbywać drzewo, aby przekonać się, co było powodem przestrachu sępów, które nabrawszy odwagi, powróciły do swej zdobyczy.

— Gdzie on jest? — zapytał don Pablo.

— Tam, panie — odpowiedział Guapo — wewnątrz zwierzęcia.

Don Pablo zbliżył się do jelenia i ujrzał rzeczywiście pancernika, który wyżerał padlinę od spodu, podczas gdy sępy zjadały część wierzchnią; w połowie drogi ptaki napotkały zwierzątko i przeraziwszy się go, odleciały. Ale wkrótce ośmielone powróciły na dawne miejsce i żywiły się dalej, nie zwracając uwagi na pancernika. Zgoda jednak nie długo trwała. Zapewne pancernik, posuwając się, zadrasnął ostrym swym pancerzem którego sępa w łapę, gdyż ptaki napadły na niego ze złością. Pancernik bronił się zwykłym swym

sposobem, to jest przysiadł do ziemi, rozplaszczyl się i osłonięty tak całkowicie swoją twardą skorupą, nie sobie nie robił z ciosów, które sępy ostremi dziobami raz poraz mu zadawały. Widząc że nic nie poradzą, sępy odstąpiły; ale zaledwie pancernik wychylił głowę i próbował uszczknąć kawałek mięsa, sępy natychmiast groziły mu dziobami, a zwierzątko co tchu kryło się w skorupę. Zmiarkowawszy, że sępy nie dopuszczą już go do padliny, pancernik zaczął kopać ziemię pazurami i za chwilę, ku wielkiemu zdumieniu ptaków zniknął pod ziemią.

(Ciąg dalszy nastąpi).



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

W trzech rzędach, oznaczonych cyframi 1, 2, 3, ułożyć w każdym po wyrazie trzygłoskowym, aby początkowe litery utworzyły nazwę części twarzy, a ostatnie zwierzę dzikie.

- 1) . . .
- 2) . . .
- 3) . . .

Znaczenie wyrazów:

- 1) Rzeka w Egipcie.
- 1) Zaimek liczby mnogiej.
- 3) Przyprawa do potrawy.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 51.

I.

N A P O L E O N
A B S A L O M
P A P K G A
O R N A T
L I N A
E C H
O N
N

II.

Prak — ty — ka.

